

TADEUSZ BILINSKI.

LUNAE SACRATUS.

Kiedy obudził się, jakby tajemnym nakazem znagła poderwany z głębokiego snu, ujrzał, jak poprzez zbłękitnione księżycową poświatą okno, wpłynęły strugi miesięcznych blasków, rozsiewając się we wnętrzu pokoju srebrzystym pyłem, co wciskał się wnikliwie w każdy omroczony jeszcze zakątek świetlicy. A równocześnie uszu jego dobiegły przedziwne ciche, drżące dźwięki — nito wiew wiatru o rozpięte struny — co zdały się wpływać z poświatą księżyca i czarem niezwyklej, acz jednostajnie brzmiącej melodji, pętały jego zdumioną duszę.

Zaciekawiony podniósł się z łoża i bezwiednie skierował się ku szklannym drzwiom, co wiodły na balkon.

Na chwilę zawahał się, napotkawszy w pochodzie swym na drzwi zamknięte, lecz znęcony odnową i coraz wyraziściej i rozdzwięczniej rozbrzmiewającą muzyką, której źródła nie znał a za wszelką cenę poznać pragnął, otworzył drzwi i znalazł się na balkonie.

Zachwyt i zdumienie ogarnęły go, kiedy ujrzał, że cały bezkres opalonego przestworza wypełniają rozpięte srebrne struny blasków wysnutych nito oprzęd pajęczy z olbrzymiego kokona księżycowego a łączących ziemię z niebem.

Te struny potrącał niewidzialną dłonią lub może wiewem z zaświatów wprawiane w drganie wydawały ten łagodny, przeciągły, jednostajny z niczem nieporównany dźwięk, który już to nabierał mocy, już to cichł, snując się leniwie i upojnie i niewoląc go ku sobie.

W miarę jak tonął całą pełnią duszy w tej muzyce sfer, chłonąc ją i jakoby zgarniając ku sobie, uczuł, że dziwna lekkość wstąpiła w ociężałe z ziemią sprzągnięte ciało, i że zwolna traci swój bezwład, stając się nieważkie.

Ledwo uczynił krok jeden a już jakby uniesiony znalazł się na poręczy balkonu, skąd pewną stopą stanął na ciągnącym się wzdłuż murów gzymsie.

Szedł teraz wsłuchany w melodię księżycowych blasków, które przepełniały go niebiańskim upojeniem i nie wahał już się ani ociągał, stąpając pewnie i swobodnie. W pewnej chwili gzyms skończył się, a wówczas zestąpił lekko na rozbłyskujący srebrną sierzogą dach pobliskiego domu i kroczył w dal wciąż w dal oświecony wyłączną żądzą zdobywania coraz to nowych przestrzeni. Przekroczywszy chybłą a lotną stopą szeregi dachów i gzymsów wstąpił na koniec na kopułę wysokiej wieżycy, co wysterczała dostojnie ponad otaczające ją domy. Kiedy zatrzymał się na samym szczy-

cie wieży, która nie łączyła się już sąsiedzko z żadnym z budynków, zrozumiał, że tu się znaczy kres jego podniebnej wędrówki.

Miłosnym a żalu pełnym spojrzeniem objął bezkresny opalowy ocean niebios, po którym płynął majestatyczny okręt księżyca i naraz poczuł jak przemożna tęsknota przestrzeni owłada nim i że nie zdoła, ani też nie zechce, opierać się temu wezwaniu, jakie szło ku niemu od tego rozdzwięczonego i rozedrganego świetlistym pyłem przestworza. Och jak pragnąłby skąpać się w tem poświatle, zanurzyć się w tą chłodną ukojną toń i silnem ramieniem pruć naprzód poprzez powietrzne łęgi aż tam hen ku tej rozłęcz opowijającej w okrąg srebrną księżycową tarcz.

Pełen ufności, że wystarczy jeno rozpostrzeć szeroko ramiona i poruszać niemi nito skrzydłami, aby ulecieć, rzucił się w przestwór.

W szalonym zawrocie zawirowało wszystko naokół, dachy i mury kamienie spiętrzyły się i wygięły; na chwilę zdało mu się, że spada ku ziemi miast lecieć ku górze, i usłyszał przeźliwy jęk i uderzenie walącego się o bruk ciała... lecz już za chwilę, tem lżejszy i zbywszy się wszelkiej ociężałości i przyziemności, płynął już swobodnie ku świetlistej toni i niczem nie krępowany wzbijał się coraz wyżej i wyżej z zawrotną szybkością.

Jasne mu się wydało, iż dopiero teraz obudził się z uciążliwego długotrwałego snu życia i że, zwoln z dusznej ciasnej kaźni ciała, rwie w niczem niepowstrzymanym pędzie ku górze.

Wszystko, co dotychczas oglądał jedynie biednymi materjalnymi oczyma, zlewało się i skracało i już nie w przestrzennych trójwymiarach widział je, ale w jednym, również i czas jakby strawił się w sobie i zanikł. Widział i przenikał wszystko, czuł się, nieodłączną częścią wszechrzeczy. Jedno miał tylko pragnienie, aby wznieść się coraz dalej i dalej, aż ku międzygwiazdom ym wyżom.

W pewnej sferze do której dopłynął, zatrzymał się i mimo ponawianych prób wznieść się dalej nie zdołał. A równocześnie ujrzał ze zdumieniem niezmierzoną mnogość białych srebrzonych poświat księżycową, jak on, duchów „Lunae sacrate“, które również płynęły ku wyżom „jużto z szaloną szybkością zniżały się ku ziemi, błakając się wśród siedzib ludzkich, krążąc ponad uśpionymi i objawiając im swą obecność we snach lub grozą mroząc im krew w żyłach.

Wszędy naokół widział ich bezliku, jakby zaklęte w sferze ponadziemskiej, skąd wyszły, wznieść się ku dalszym wyżom niezdolne i czekające wyzwolenia i oczyszczenia z ziemskiej skazy.

Kiedy następnego dnia o świcie nieliczne gromadki przekupniów spieszyły na targ, ujrzały ze zgrozą u stóp wieży zniekształcone i pogruchothane zwłoki mężczyzny w bieleźnie, którego usta opromieniał ziemski uśmiech.

Długo biedzili się nad rozwiązaniem tajemnicy zagadkowego mordu, czy też samobójstwa, snując różne domysły, aż w końcu zgodzili się na jedno: — „Niechybnie musiał to być... lunatyk.



...Szedł teraz, wsłuchany w melodię księżycowych blasków...

Rys. Ant. J. Kamiński.



FEDEROWICZ i PALUGYAY

Kraków, Podwale 6.

== Wina musujące, wina mszalne z własnych winnic na Węgrzech. ==

PIWNICE: Budapeszt, Preszburg, Wiedeń, Arad i Triest.